

Każdy szanujący się fan Królewskich MUSI  
przeczytać tę książkę! Każdy szanujący się  
fan innej drużyny – POWINIEN!

– MICHAŁ POL



KRÓLEWSKA HISTORIA NAJBARDZIEJ UTYTUŁOWANEGO KLUBU ŚWIATA

# Realmadryt

**PHIL BALL**

WSTĘP: Guillem Balagué

POSŁOWIE: Santiago Segurola

SCN



Real**madryt**



KRÓLEWSKA HISTORIA NAJBARDZIEJ UTytuŁOWANEGO KLUBU ŚWIATA

# Realmadryt

**PHIL BALL**

WSTĘP: Guillem Balagué  
POSŁOWIE: Santiago Segurola

tłumaczenie:  
Damian Juszczyk, Konrad Mazur, Bartosz Sałbut

Kraków 2014

**WHITE STORM**  
**THE STORY OF REAL MADRID**

Copyright © Phil Ball 2002–2014  
The moral right of the author has been asserted

Foreword copyright © by Guillem Balagué  
Epilogue copyright © by Santiago Seguroła

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014  
Copyright © for the translation by Damian Juszczyk, Konrad Mazur,  
Bartosz Salbut 2014

*Redakcja i korekta* – Radosław Pisula, Kamil Misiak / Editor.net.pl,  
Joanna Mika-Orządała  
*Opracowanie typograficzne i skład* – Joanna Pelc  
*Okladka* – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

*Front cover photograph*: © Clive Rose/Getty Images  
*Back cover photograph*: © Warren Little/Getty Images  
*Photographs inside the book*: Unless stated all photographs © Fundación  
Real Madrid

First published in Great Britain in 2002 by  
MAINSTREAM PUBLISHING COMPANY (EDINBURGH) LTD  
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek  
inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie,  
zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach  
publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014  
ISBN: 978-83-7924-229-0




[www.wydawnictwosqn.pl](http://www.wydawnictwosqn.pl)


Szukaj naszych książek  
również w formie  
elektronicznej




**Q** DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA [www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

*Dla Harry' ego,  
Lily i Diany*





## Spis treści

|  |     |
|--|-----|
| Podziękowania                              | 8   |
| Przedmowa                                  | 9   |
| Wstęp                                      | 13  |
| Prolog                                     | 15  |
| Rozgrzewka przed stuleciem                 | 27  |
| Madryt, madrytczycy i <i>madridistas</i>   | 47  |
| Wielkie dęby wyrastają z małych żołądzi... | 65  |
| Wczesne lata i pierwsze problemy           | 83  |
| Zanim pojawił się Alfredo                  | 103 |
| Tańcząc za matową szybą                    | 149 |
| Pięciu wspaniałych                         | 171 |
| She Loves You Yé-Yé                        | 215 |
| Eskadra Sępa                               | 259 |
| Raúl Madryt                                | 287 |
| Wypromuj się jak Beckham                   | 313 |
| Talentyzacja                               | 327 |
| Efekt Mourinho                             | 341 |
| Posłowie                                   | 355 |
| Statystyki                                 | 358 |
| Bibliografia                               | 364 |

# Podziękowania

Za pomoc przy pisaniu książki chciałbym podziękować następującym osobom:

Billowi Campbellowi, Graeme'owi Blaikiemu, Juanjo Moranowi, Jorge Valdano, Miguelowi Pardezie, Santiago Seguroli, Marcie Santisteban, Guillemowi Balagué, Dianie Lindsay, Mike'owi Ticherowi, Cristinie Velarde, Julii Gonzáles, Isabel Real, Begoñii Agudín, Fundacji Realu Madryt, Julio Gonzálesowi Ronco, Loli López, Nacho Estefánii, Duncanowi Shawowi, Markowi Wilsonowi i wszystkim ludziom z Mainstream.

# Przedmowa

Jeśli urodziłeś się w Barcelonie pod koniec lat 60. jako kibic Espanyolu, to wiesz, że wówczas pozycja Realu Madryt we wszechświecie była niemal codziennym zmartwieniem. Dla nikogo nie było oczywiste, czy ten sam klub był odpowiedzialny za to, co najgorsze w historii rodzaju ludzkiego (w Barcelonie są tacy, którzy tak myślą). Ja również nie sądziłem, że byli tam od samego początku, niczym Alfa i Omega – jak powiedziałby oddany madridista. Los Blancos byli po prostu jednym z wielu klubów, choć z rodzaju tych przyzwyczajonych do wygrywania większości swoich meczów i dzielenia się krajowymi tytułami z Barceloną. Książki do historii mówią nam, że byli jednymi z wielkich europejskiego futbolu, ale przed nadejściem lat 70. i 80. klub wyraźnie sprawiał wrażenie kolosa na glinianych nogach. To były czasy, o których należałoby zapomnieć. Pokolenie Garcíi na początku lat 80. przypomniało, że bogowie chyba wyrazili zgodę (mimo porażki z Liverpooliem w Pucharze Europy) na to, by zostać zastąpionymi przez okres tak dobry, że zapewnił on wiele radości nawet neutralnym kibicom (lata Butragueño).

Vicente del Bosque w cudowny sposób przywołał niektóre dawne sukcesy, jeśli chodzi o europejskie tytuły, ale przez cały ten czas powstawał nowy Real Madryt, bazujący na filozofii wybierania najdojrzałszych owoców, w odróżnieniu od upodobania do tych dojrzewających (więcej Zidane'ów niż Pavónów). „Kolejny Biały Dom” zaczął dzień w dzień pojawiać się w mediach, zmuszając wszystkich, aby usiedli i notowali. Obecnie nikt nie może sobie pozwolić na to, by ich ignorować. Po obu stronach solidnych ścian stadionu Bernabéu ludzie byli opłacani, by przekonać nas, że Królewscy należą

do całkiem innej ligi. Wspięli się na wyższy poziom, z którego od czasu do czasu będą schodzić, by rozgrywać mecze z resztą – z nami jako zwykłymi śmiertelnikami. Zaczęli zamieszkiwać inny wymiar, w którym jedyna prawda była przyobleczona w biel, kolor symbolizujący bezlitosny rodzaj zwycięstw.

Od momentu, w którym Florentino Pérez zasiadł na tronie, Real wydawał się być wszędzie – zaangażowany w tysiące rozgrywek, organizowanych wyłącznie dla własnej rozrywki. Oczywiście wszystkie wygrywali. Stali się zespołem przynoszącym najwyższe dochody, z największą liczbą Europejskich Piłkarzy Roku, z rekordową liczbą ligowych tytułów, z nagrodą FIFA dla najlepszej drużyny XX wieku. A wtedy pojawił się Beckham, żeby dołączyć do imprezy – jako honorowy gość, którego sama obecność była uznawana za sukces. Przypominało to mistrzostwa świata w snookerze, które Brytyjczycy zawsze wygrywali, ponieważ tylko oni brali w nich udział. I oczywiście to wszystko stało się trochę niestrawne. Real zaczął nagle żyć ze statystyk, a to musiało skończyć się we łzach.

Nagle rok bez tytułu mistrzowskiego (po raz pierwszy trzy takie z rzędu zdarzyły się w latach 50.) był świętowany w całym kraju, nawet w tych zakątkach Hiszpanii, w których nikt wcześniej nie miał powodu, by nienawidzić Realu. Uśmiechy zaczęły znikać z twarzy trenerów, gdyż byli zwalniani w rekordowym tempie, a gorzki wyraz zagościł na obliczach niektórych największych ambasadorów futbolu. Wtedy fascynujący zwrot akcji odbił się głośnym echem na najwyższych szczeblach piłkarskiego giganta, bestia zaczęła pożerać swojego twórcę – i nagle Florentino Péreza nie było już w klubie.

Ta historia jest dobrze znana. Real Madryt wypełnił się piłkarzami ze ścisłego topu – zawodnikami zawsze trudnymi do kontrolowania. Fatalny brak równowagi pomiędzy bliźniaczymi wymaganiami biznesu i sportu? Może, chociaż dla niektórych Pérez uratował sytuację, pozbywając się 500 milionów dolarów długu i potrajając roczny

budżet klubu – raz jeszcze pozostawiając Blancos na plusie. Dla innych dochody i marketing stały się obsesją, która w przyszłości mogła doprowadzić ekipę do sportowego bankructwa. Dla neutralnych obserwatorów wszystko rozbijało się o synergę. Sednem filozofii leżącej w sercu wizji Péreza było romantyczne małżeństwo futbolu i panny młodej w postaci przedsiębiorstwa handlowego. W jego strategii chodziło o kupienie najlepszych piłkarzy i dorzucenie kilku młodych graczy ze szkółki klubowej, co miało zagwarantować dobrą przyszłość oraz utrzymać kibiców z Bernabéu w stanie szczęśliwości. Ale sześć lat po jego przyjściu w królestwie zapanował chaos.

Sytuacja zaczęła się poprawiać dwa sezony po jego odejściu, a kolejne tytuły mistrzowskie zostały odzyskane pod rządami nowego prezydenta, Ramóna Calderóna, ale nie zniknęły podejrzania, że te sukcesy zawdzięczano raczej wewnętrznemu konfliktowi w Barcelonie niż wielkiej madryckiej rewolucji. Szczęśliwi z powodu konwulsji Katalończyków *madridistas* mimo wszystko pozostali nieprzekonani. Wiara w to, że Bernd Schuster zapewni stabilizację, przypominała Anglika opuszczającego dom bez parasola. Nie był to dobry pomysł, a skutki musiały być opłakane. Kiedy Barça znowu uderzyła, sięgając po bezprecedensowy tryplet, Pérez stwierdził, że widział już wystarczająco dużo. Powrócił cztery dni po triumfie Blaugrany w Rzymie, niczym Mesjasz, by rozpocząć budowę Galácticos 2 – na początku z galaktycznym menedżerem (José Mourinho), a teraz już bez niego. Jak potoczy się ta historia? Czy Ronaldo i spółka udowodnią, że należą do wspaniałej nowej ery, czy też może ogromne ryzyko podjęte w związku z tak gigantyczną inwestycją będzie początkiem końca?

Są to pytania, na które można odpowiedzieć na tysiąc różnych sposobów, ale ja zawsze lubię słuchać tego, co ma do powiedzenia Phil

Ball. Z jego zakątka Kraju Basków, filozoficznej wieży wartowniczej znajdującej się dokładnie między Wielką Brytanią a Madrytem – tak to sobie wyobrażam – wzrok pisarza unosi się ponad plażą La Concha w San Sebastián, a na jego twarzy maluje się wiecznie ironiczny uśmiech, będący osobistą interpretacją tego, co ma znaczenie w życiu i co liczy się w tej osobliwej grze. Hiszpański futbol ma szczęście, że posiada Phila Balla wśród swoich najlepszych kronikarzy – człowieka pogodzonego z byciem Anglikiem, który teraz pewnie czuje się bardziej Hiszpanem, choć oficjalnie nigdy nim nie został. To naprawdę idealna perspektywa do przyjęcia przez prawdziwego obserwatora. Miłej lektury!

Guillem Balagué  
hiszpański dziennikarz,  
ekspert od hiszpańskiej piłki w telewizji SkySports

# Wstęp

**D**wudziesta minuta historycznego meczu na Allianz Arena. 70 tysięcy ludzi na stadionie i miliony przed telewizorami wpatrzonych w jeden punkt na murawie. Gwizdek, walka w polu karnym, dośrodkowanie. Sergio Ramos po raz drugi pakuje piłkę do bramki. Wśród Bawarczyków konsternacja. Manuel Neuer próbuje wyblagać u sędziego liniowego spalonego, ale już wiadomo, że nic nie wskóra. Jego oprawca biegnie do narożnika boiska, by świętować z kolegami. Zanim wpadnie w ich ramiona, pokazuje załamany Niemcom triumfalny gest, wskazując na siebie, a później na murawę – tutaj jestem, tu jest Real Madryt. *Veni, vidi, vici*. Wtedy już było wiadomo, że Królewscy z Madrytu są w finale w Lizbonie.

Rozpocząłem ten wstęp od tematu Ligi Mistrzów, ponieważ nic w tym momencie nie działa na wyobraźnię kibiców Realu Madryt jak *décima*. Przez pierwsze lata od ostatniego triumfu w 2002 roku dziesiąty Puchar Europy był tylko marzeniem, ale wraz z upływającym czasem, potokiem gotówki i pasmem klęsk stał się prawdziwą obsesją *madridismo*.

Publikacja książki Phila Balla właśnie teraz może być dobrym omenem przed upragnionym finałem. 2014 rok może bowiem stać się swoistą cezurą w historii całego Realu Madryt. Dla kibica Los Blancos czas od maja 2014 roku będzie się dzielił na „przed finałem” i „po finale” na portugalskim Stadionie Świata. Albo nastanie owa światłość, miliony kibiców poczują ulgę i klub przejdzie do historii futbolu jako pierwsza drużyna, która dziesięciokrotnie zapanowała nad Europą, albo nastaną wieki ciemne i Real znowu będzie musiał od nowa rozpocząć pracę nad przeklętą *décimą*. My, fani Realu

Madryt, jesteśmy przekonani, że sprawiedliwości stanie się zadość i ciężka praca tej wielkiej drużyny zamieni się w sukces.

112 lat. Historia sukcesów, klęsk, wlotów i upadków. Historia pasji, dumy i zuchwałości. Historia legend i generacji wybitnych piłkarzy. Od Di Stéfano, Puskása i Gento, którym zawdzięczamy pierwsze międzynarodowe sukcesy klubu, przez pokolenie Piątki Sępa władające Hiszpanią, po ekipę Galaktycznych, która zapewniła Realowi międzynarodową sławę, pieniądze i trofea. Przeszość drużyny z Santiago Bernabéu jest tak bogata, że trudno byłoby zmieścić ją w kilku opasłych tomach. Ponadto pisze się ona na naszych oczach każdego tygodnia, gdy kolejni wielcy zawodnicy wychodzą na murawę przy Concha Espina 1, by zapisać się na jej kartach. Przybywają do stolicy futbolu, do piłkarskiej Ziemi Świętej z najodleglejszych zakątków świata. Nie ma znaczenia, czy urodzili się w brazylijskiej faweli, w biednej dzielnicy Cardiff, w hiszpańskim miasteczku na prowincji, czy kilka ulic od Bernabéu. W epoce cyfryzacji tysiące chłopców na całym świecie olśnionych przed telewizorami magią Zidane'a, Raúla i Cristiano Ronaldo marzą, by pójść w ślady wielkich legend Realu Madryt. Nie każdemu będzie to jednak dane, ponieważ w stolicy Hiszpanii wymagania są maksymalne i nie jest łatwo im sprostać. Właśnie dzięki temu Real został obwołany najlepszym klubem XX wieku. Oby w maju 2014 roku stanął na wysokości zadania i odwołał się do wielkości poprzednich pokoleń.

Andrzej Jaskiernia  
redaktor RealMadrid.pl



# Prolog

*Old Trafford, Manchester*

*5 marca 2013 roku*

Jak słusznie (w latach 60.) zaobserwował dziennikarz „Sunday Times”, Rob James, mecz na Old Trafford to coś więcej niż tylko gra. Przyciągał on całe miasto, które niczym rwący potok napływało w kierunku obiektu. Dziś, po ponad 50 latach, niewiele się zmieniło. Szczególnie że do Manchesteru przyjechała ekipa Realu Madryt. Ze wszystkich najdonońszych wydarzeń w Europie to zdawało się mieć szczególny wymiar. Niosło za sobą pewną aurę tajemniczości, wspaniałej magii, którą najbardziej doceniali ludzie pamiętający mityczne wręcz spotkanie obu drużyn z przeszłości – w czarno-białych latach 50. Ci romantycznie nastawieni fani mogli kręcić nosem tylko na jedną okoliczność – Real wybrał na ten mecz ciemnozielone stroje. Wtedy grał w swoich charakterystycznych, jednolicie białych trykotach. Ostre światło jupiterów mogło potęgować wrażenie, że jest to spotkanie zupełnie innych zespołów, nie tych z czasów klasycznych – czerwoni kontra biali.

Hymn Ligi Mistrzów rozbrzmiewał nad stadionem, kiedy piłkarze wychodzili z tunelu. Ostatnim, który pojawił się na murawie, był Cristiano Ronaldo. Gdy spiker wyczytywał nazwiska futbolistów, przed przedstawieniem Portugalczyka zrobił krótką pauzę. „Witaj w domu, Cristiano”, powiedział. Zawodnik na ciepły i wzruszający gest byłego klubu zareagował niezgrabnie – spuścił głowę, dając do zrozumienia, jak bardzo cała sytuacja go zawstydza zamiast sprawić mu radość. Stojący za mną starszek zasugerował swojemu

koledze, że to część taktyki klubu, który tym miłym przywitaniem chciał „zmiękczyć” Ronaldo – wpłynąć na niego, by podczas walki z drużyną, która go wychowała, nie był zbyt agresywny.

Wśród kibiców czuło się pewną dozę trwogi. Mieli świadomość, że za chwilę będą świadkami historycznych momentów. Ostatni mecz między tymi drużynami na Old Trafford był szczególnie. Brazylijczyk Ronaldo strzelił hat-tricka, a David Beckham rozpoczął mecz na ławce. Wkrótce potem Anglik został wystawiony na sprzedaż i ostatecznie trafił do Madrytu. Hiszpańska prasa była wtedy zdumiona zachowaniem fanów, którzy szczerze wiwatowali na cześć Ronaldo, gdy ten zdobył trzecią bramkę.

Dziś nadal pozostało coś z tych dawnych, dobrych relacji między klubami. José Mourinho, który przyzwyczajony jest do prowokacji podczas meczów wyjazdowych, siedł spokojnie wzdłuż trybuny zajmowanej przez kibiców United. Ci wyraźnie wyrażali swój podziw dla Portugalczyka. Widziałem, jak Mourinho, który według plotek widział siebie w roli następcy sir Alexa Fergusona, uśmiechał się do tłumu. To trochę dziwne – żadnej wrogości wobec przyjezdnych, zrelaksowany szkoleniowiec... Nic dziwnego, że mężczyzna tęsknił za Anglią...

Kibice Realu, w liczbie około trzech tysięcy, zasiedli w narożnym sektorze południowej trybuny. Ogrom stadionu całkowicie zagłuszył ich śpiewy. Powietrze wypełniała świadomość, że ten mecz zapisze się w historii. Jeszcze się nie zdarzyło, by któryś z tych pojedynków przeszedł bez echa. Wszystkie spotkania, począwszy od 1957 roku, miały wkład w rozwój obu klubów, a każdy wynik oznaczał poważne konsekwencje.

Zawodnicy Realu wiedzieli, że losy tak zwanej décimy (dziesiątego triumfu w Pucharze Europy) ważą się właśnie tego wieczoru. Po tym jak Barcelona zdominowała rozgrywki krajowe, madrytczycy skupieni byli wyłącznie na europejskiej kampanii pucharowej.

Za każdym razem, gdy piłka trafiała do Ronaldo, doping ustawał, a na trybunach słychać było pomruk tych, którzy traktowali Portugalczyka niczym syna, który uciekł z domu i wrócił, by powybijać szyby, a następnie zniszczyć własną sypialnię. Oni nadal kochali dawnego ulubieńca, ale bali się go – zupełnie jak rodzice bezradni wobec zachowań dzieci.

Real przetrwał jakoś dominację Manchesteru w pierwszej połowie, ale na początku drugiej odsłony, po samobójczym trafieniu Sergio Ramosa, United złapali wiatr w żagle. Szacunek wobec przyjezdnych zelżał, a wiara w zwycięstwo zaczynała brać górę. Wszystko zmieniło się jednak w mgnieniu oka, gdy Nani został wyrzucony z boiska przez niepewnego swojej decyzji tureckiego sędziego. Hiszpanie poczuli krew, a Anglicy nie byli w stanie podnieść się po tej stracie.

Zmiana nastawienia obu ekip wpłynęła na obraz gry. Real zaczął atakować i wkrótce wyrównał stan meczu po голу Luki Modricia, który latem był bliski przejścia do Manchesteru. Dwie minuty później Gonzalo Higuaín płasko dośrodkował wzdłuż pola bramkowego, a piłka trafiła do niepilnowanego syna marnotrawnego, który strzelił obok bezradnego Davida de Gei.

Stało się nieuchronne. Kibice, którzy siedzieli obok mnie, spuścili głowy. Nie mogli uwierzyć w całą sytuację. Ich miny wyrażały nadzieję, że to nie dzieje się naprawdę – jest tylko złym snem. Ronaldo zaniechał celebracji gola. Pozwolił kolegom na żywiołową radość, ale sam, stojąc pod wschodnią trybuną, nie triumfował. Kibice United wiedzieli, że to koniec, a Mourinho kilka minut przed finałowym gwizdkiem udał się w kierunku tunelu. Jego mowa ciała była specyficzna – sprawiał wrażenie skruszonego, pokornego, jakby chciał przeprosić wszystkich za taki obrót spraw.

Real awansował do ćwierćfinału i po raz kolejny przeżywał chwilę chwały. Tydzień wcześniej dwa razy pokonał Barcelonę, a teraz

miało miejsce to. Wściekli mieszkańcy Manchesteru niemal wybiegali ze stadionu, a marzenia o *décimie* tańczyły w rytmie triumfu.

*Highbury, Londyn*  
*8 marca 2006 roku*

Zanim na historycznym obiekcie opadła kurtyna, rozegrano tu jeszcze dramatyczny mecz, godny dwóch wspaniałych europejskich klubów. Od 1919 roku Arsenal przyjmował tutaj drużyny z najwyższej klasy rozgrywkowej w Anglii, z kolei Real nigdy nie zaznał życia poza hiszpańską elitą.

Ale i bogowie czasami przysypiają... Klub z Madrytu przeżywał wtedy gorsze chwile. Po pierwsze: z funkcji prezydenta zrezygnował Florentino Pérez. Po drugie: dziesięć dni wcześniej zespół przegrał u siebie z Arsenalem 0:1. Istniała poważna obawa, że Real odpadnie z Ligi Mistrzów. Razem z Pérezem odeszła era Galaktycznych. Większość z nich wyszła na rewanż z Kanonierami, ale nie wiadomo było, czy stać ich będzie na ostatni zryw, czy nadal są głodni zwycięstw oraz chwały. Mieli zdobyć tytuł najlepszej drużyny Europy po raz dziesiąty. Wszyscy się zastanawiali, czy stare dinozaury – niektóre już z nadwagą, większość wypalona – będą potrafiły po raz kolejny wzbic się na wyżyny i przejść do historii.

W 60. minucie meczu, po fatalnej interwencji obrońcy Arsenalu Senderosa, piłka spadła pod nogi niewidocznego do tego momentu Raúla. Ten, jak za starych dobrych czasów, przełożył ją sobie na lewą nogę i podkręconym strzałem uderzył obok bezradnego Jensa Lehmana. Wielu widziało już piłkę w siatce. I wtedy jakiś delikatny wiaterek wywołany przez kapryśny los spowodował, że piłka skrzyła lekko w prawo, uderzyła w poprzeczkę, po czym wróciła na plac gry. Hiszpan dopadł jeszcze do futbolówki, zdołał uderzyć ją

ponownie, ale tym razem trafił w ofiarnie interweniującego bramkarza.

Ta akcja i dwumecz stanowiły symbol zmierzchu Galaktycznych – spowodowały całkowite wyginięcie dinozaurów.

Ronaldo, który trzy lata temu podczas meczu na Old Trafford był gwiazdą, teraz ruszał się wolno oraz niezdarnie. Był cieniem samego siebie. David Beckham raził nieskutecznością. Raúl, lider poprzedniej zwycięskiej ekipy, który przez ostatnie 12 lat stanowił inspirację dla swoich kolegów, został zmieniony już w 72. minucie przez Cassano. Inny weteran i symbol galaktycznego Realu, Míchel Salgado, również nie pomógł drużynie i zastąpiono go młodym Robinho.

Spotkanie zakończyło się bezbramkowym remisem, Real przegrał w dwumeczu 0:1, a władze klubu – z nowym prezydentem Fernandem Martinem – poważnie martwiły się o przyszłość zespołu. Wielu z tych, którzy po ostatnim gwizdku sędziego schodzili z boiska, musiało opuścić ekipę.

W czerwcu 2003 roku wszystko wydawało się inne. Trzy lata po rewolucji Péreza w klubowej gablocie – i tak już mocno wypchanej – błyszczał kolejny puchar za mistrzostwo Hiszpanii. Nad stolicą kraju znów zaświeciło słońce, po raz pierwszy dla pewnego słynnego Anglika.

Podpisując kontrakt z Beckhamem, Real dokonał rzeczy niezwykłej. Transfer ten wywołał prawdziwe trzęsienie ziemi – histerię, jaką poprzednim razem zaobserwowano w czasach, gdy koncertowali Beatlesi. Królewscy i Beckham zawsze byli potężni, popularni, ale dzięki temu mariażowi mogli zmieniać świat. Połączeni dysponowali nieograniczonym wręcz potencjałem marketingowym. Transfery Figo, Zidane’a czy Ronaldo – mimo ich wielkiego talentu – w mig zostały przyćmione. Real znów to zrobił, choć tym razem inaczej. Przypomniał całemu światu, że to on ustala trendy i w pojedynkę może zmienić reguły tej gry. Po raz kolejny wysłał wiadomość: „Jesteśmy wszechpotężni!”.

Jednak przez trzy kolejne lata Beckham nie zdobył z nowym klubem ani jednego trofeum. Owszem, swoim podejściem do zawodu, etyką pracy zyskał olbrzymi szacunek publiki, ale Real – który w lutym 2006 roku ogłoszono najbogatszym klubem świata (zepchnął z pierwszego miejsca Manchester United) – oczekiwał czegoś więcej. Plany Péreza zostały zrealizowane jedynie połowicznie – patrząc przez pryzmat madryckiego marketingu, można powiedzieć, że Brytyjczyk rozbił bank, ale jeśli chodzi o sferę sportową, transfer ten okazał się niewypałem.

Pérez ustąpił ze stanowiska prezydenta tuż po ogłoszeniu wspomnianego rankingu najbogatszych. Nie zdradził powodów odejścia, ale zdaje się, że dostrzegał upadek swojej reputacji – zarówno w świecie sportu, jak i biznesu. Po jego abdykacji klub zaczął odnosić sukcesy. W sezonach 2006/07 i 2007/08, pod rządami Ramóna Calderóna, Los Blancos sięgnęli po mistrzostwo kraju. Beckham zdobył wreszcie wymarzony tytuł, ale trzeba podkreślić, że wynikało to bardziej z niemocy Barcelony niż skutecznej rewolucji w szatni Realu.

Fabio Capello, który wygrał z zespołem pierwsze z tych trofeów, nie zagrzał na dłużej miejsca w klubie, a Bernd Schuster (poprowadził Królewskich do drugiego mistrzostwa) łatwo wdawał się w konflikty, przez co również nie nadawał się do tego, by pracować w Madrycie. Odradzająca się pod skrzydłami Pepa Guardioli Barcelona dała pretekst do kolejnej zmiany szkoleniowca. Został nim Juande Ramos z Tottenhamu, który miał zdławić zapędy największego rywala. Jego kadencja zakończyła się srogim laniem od Blaugrany – 2:6 w El Clásico to dla każdego fana Realu koniec świata.

2 maja 2009 roku jest dla madrydistów jednym z najczarniejszych dni w historii klubu. Czy ktoś mógł uratować zespół przed postępującą dominacją Barcelony – późniejszej zdobywczyni potrójnej korony w sezonie 2008/09? Potrzebny był powrót Mesjasza – Florentino Péreza – z workiem pełnym euro i planem

wykupienia największych talentów światowego futbolu. Real podjął próbę powrotu do galaktycznych czasów. Deszcz nowych gwiazd, piłkarzy wówczas największych – Kaki, Ronaldo, Benzema, Xabiego Alonso – sprawił, że już cztery dni po zdobyciu przez ekipę Guardioli Pucharu Mistrzów nikt nie mówił o Katalończykach. Te transfery odwróciły falę – to Madryt był znów na ustach wszystkich. Do klubu przybył też pierwszy kosmiczny trener, José Mourinho, i zrealizował misję – jeśli w ogóle możemy użyć takich słów w kontekście wielkości klubu – podbijając rodzime rozgrywki w drugim sezonie pracy.

Ale historia Realu to nie tylko czasy Cristiano Ronaldo i słynnych Galácticos. Ta drużyna towarzyszyła mi przez całe życie, a jej magię poznałem jeszcze w czasach gimnazjum. Moja szkoła nie słynęła z wysokiego poziomu. Była to prowincjonalna placówka w północno-wschodniej Anglii, która za wszelką cenę chciała dorównać instytucjom publicznym. Uczono nas, że sport to współzawodnictwo i umiejętność pracy w zespole. Wpajano, że wynik ma drugorzędne znaczenie. Pewnego razu dyrektor wściekł się na grupę chłopców, którzy usłyszawszy, że ich ulubiona drużyna wygrała 8:0, wybuchnęli radością. „Spokój! Z czego wy się w ogóle cieszyce?! – wrzeszczał. – Powinniśmy współczuć przegranym. Na szczęście to oni, a nie ci, którzy wygrali, wynieśli z tej lekcji większą naukę”, tłumaczył. Nigdy nie zapomnę tych słów. Kilku nauczycieli miało jednak inne zdanie na ten temat i trenowali szczeniackie zespoły w dość bojowej atmosferze.

Dziś żyję w Hiszpanii, gdzie opinia, że porażka może nas nauczyć więcej niż zwycięstwo, jest obca. Tego typu sentencje uchodzą za idiotyczne, więc nie podejmuje się tutaj podobnych rozważań. Hiszpanie w przeciwieństwie do Brytyjczyków nie widzą problemu, by sądzić, że głównym zadaniem sportowców jest wygrywanie. Przykładem postępowania według tej filozofii jest właśnie Real.

FIFA bezsprzecznie uznała madrycki klub za najlepszy w XX wieku. Pasma jego sukcesów jest przygniatające: dziewięć Pucharów Europy, 32 mistrzostwa Hiszpanii, 19 ligowych pucharów, trzy Puchary Interkontynentalne, dwa Puchary UEFA i kilka finałów oraz półfinałów tych rozgrywek. Co ważne, jeśli Real nie wygrywa ligi, zwykle kończy rozgrywki na drugim miejscu. Warto podkreślić, że większość tych trofeów została zdobyta po 1953 roku, czyli w następstwie przybycia Alfredo Di Stéfano – gracza, który na zawsze zmienił oblicze europejskiego futbolu.

Dla pokolenia żyjącego w latach 50. poza Półwyspem Iberyjskim, Real stał się symbolem swojego kraju. Hiszpania nie była już – zgodnie z narodowymi kolorami – tylko żółto-czerwona. Przybrała również białą barwę, tak jak jej idole z Madrytu. O popularności Królewskich niech świadczy fakt, że gdy Don Revie przejął na początku lat 60. Leeds United, zmienił barwy klubowe z niebiesko-żółtych na białe. Był to ukłon w stronę piłkarskiego króla Europy.

Wspominam o tym, by podkreślić wkład Realu w sukcesy hiszpańskiego sportu. Reszta drużyn, nawet Barcelona, może jedynie pomarzyć o takiej liczbie trofeów. Z roku na rok La Liga staje się coraz silniejsza, zespoły, które w przeszłości nie występowały na arenie międzynarodowej, dziś potrafią osiągać sukcesy na Starym Kontynencie. To także pokazuje siłę Realu – z ligi, która zawsze wyróżniała się wysokim poziomem, kiedyś jako jedyny osiągał sukcesy pucharowe. Dominacja klubu z Madrytu sprowokowała wyścig szczurów wśród pozostałych ekip. W pewnym momencie Primera División stała się ligą survivalową, w której mogą występować tylko najsilniejsi.

Obok najbogatszych – Realu i Barcelony – opierających swoje budżety na lukratywnych kontraktach reklamowych w ostatnich 20 latach (wobec wyraźnej poprawy jakości życia), pojawiło się wielu ludzi, którzy przechodząc drogę od pucybuta do milionera, stali



się właścicielami klubów i chcieli dokonać zamachu na piłkarską monarchię. Deportivo La Coruña oraz Valencia to ostatni mistrzowie Hiszpanii, którzy dziś cierpią z powodu wyrównania szans. Niemniej nadal niektórzy skarżą się, że związki Realu z najważniejszymi krajowymi bankami i władzami miejskimi zabijają prawdziwą sportową demokrację.

Ale tego typu zarzuty nigdy nie wpływały negatywnie na zespół. Ten zawsze postępował według koncepcji *madridismo* – skomplikowanej idei, której najważniejszym punktem jest gloryfikacja odrębności i w pełni świadomego poświęcenia dla klubu. W przeciwieństwie do swojego wielkiego rywala z Barcelony filozofia Realu nie opiera się na chęci bycia kochanym i podziwianym przez każdego. Klub ucieleśnia sportową koncepcję *machacar* (zmiażdżyć bez litości). Według niej „zdejmowanie nogi z gazu” to nic innego jak element słabości oraz bufonady. Rywala się tłamsi, a nie pozwala mu uciec.

Dusza Hiszpanów jest skomplikowana. Pełna hojności, ale i przemocy. Musisz stosować się do zasad *machacar*, by następnym razem rywal umarł ze strachu. Toreador, który pozwala bestii nad sobą zapanować, chwilę później zostaje przepędzony z wybiegu. Z tym że nikt nie zwraca uwagi na byka. Podobnie jest z Realem – jeśli przegra, przeciwnicy rzadko są chwaleni. Wszyscy zwracają uwagę na Goliata, a nie Dawida. Skupiają się na olbrzymie, który przeoczył lecący w jego kierunku kamień.

Duch klubu mieści się w miejscu, w którym stoją wszystkie zdobyte trofea. Pokój ten otwarty jest przez siedem dni w tygodniu i może go zwiedzić każdy kibic. Ma wtedy przed sobą trwałe świadectwo chwały oraz wielkości tej instytucji. Wielcy piłkarze przychodzą i odchodzą, a sukcesy zostają na zawsze. Przy wejściu do Sala de Exposiciones (Sali Wystawowej) wielki niebieski mural prezentuje potencjalnym niedowiarkom pełną listę klubowych osiągnięć. W środku złoto i srebro od dziesiętków lat lśnią w gustownym świetle.

To niezwykle czarująca scena, która porusza niezależnie od tego, kim jesteś. Dostojeństwo tego miejsca jest godne podziwu. Gdy dzięki uprzejmości Królewskich zwiedzałem je po raz pierwszy, zrozumiałem, że chcąc napisać tę książkę, być może porywam się z motyką na słońce. Pomyślałem: jak, do cholery, zmieścić ten kawał historii w tak krótkim tomie? Poczulem, że to zadanie może mnie przerosnąć, że może być niewykonalne. Zdałem sobie jednak sprawę, iż mam olbrzymią szansę spojrzeć na ten klub i jego dokonania neutralnie, sporządzić publikację, która wśród wielu laurek będzie bardziej obiektywna. Oczywiście te wszystkie lukrowane opowiadki również spełniają swoje funkcje, a Real odczuwa silną potrzebę – zarówno emocjonalną, jak i biznesową – by taką literaturę promować. Większość tych książek piszą fani i jest to gatunek, w którym unika się wszelkich niewygodnych analiz. Ja zaś mogę się szczycić statusem neutralnego obserwatora. I to pomimo faktu, że podczas opisywania wszystkich zjawisk bez wątpienia zacząłem w pewnym stopniu sympatyzować z tym klubem. Unikałem jednak ocen – nie grzebałem Realu w ziemi, ale nie wywyższałem go też pod niebiosa.

*Real Madryt. Królewska historia* nie jest pierwszą anglojęzyczną książką na temat Królewskich. Dziewicze dzieło zostało wydane w 1961 roku, zaraz po tym jak drużyna po raz piąty z rzędu sięgnęła po Puchar Europy. Jest to praca zbiorowa, w której każdy rozdział tworzy seria wywiadów z najważniejszymi postaciami tamtej ery futbolu.

W mojej publikacji również znajdziecie kilka wywiadów, ale nie stanowią one trzonu narracji. Jej rdzeniem są osobiste poglądy na temat drużyny, poukładane według chronologii badań, które przeprowadziłem, i ukształtowane przez mój 20-letni już pobyt w północnej Hiszpanii, gdzie *peñas* (kibice) Realu są w zdecydowanej mniejszości. Ten fakt również pomógł mi być neutralnym, choć żyjąc w kraju, w którym futbol jest wszechobecny, niezwykle trudno

uodpornić się na wpływ ludzi mieszkających obok. Trzeba jednak pamiętać, że jestem Brytyjczykiem i nigdy nie byłem fanem Realu Madryt. Muszę przyznać, że specjalnie użyłem czasu przeszłego. Dziś w pewnym sensie kibicuję temu klubowi i byłbym niezwykle szczęśliwy, jeśli ktoś po przeczytaniu tej pozycji poczułby to samo co ja.

Gdy zostałem poproszony o napisanie książki, spadł na mnie olbrzymi zaszczyt. Historia Realu jest niezwykle wciągająca. Mam nadzieję, że opisałem ją godnie.

Phil Ball  
San Sebastián, marzec 2013



# Rozgrzewka przed stuleciem





*Real Madryt – UD Las Palmas*  
*10 lutego 2002 roku*

To był wyjątkowo ciepły dzień. Piłkarze Las Palmas wybiegli na nierówną murawę Santiago Bernabéu w swoich żółto-niebieskich strojach. Zgromadzili się w kole środkowym i zaczęli machać w kierunku narożnego sektora olbrzymiej trybuny północnej, gdzie zasiedli mieszkający dziś w Madrycie kanaryjscy emigranci.

Zajmowali dopiero 15. miejsce w lidze, ale mogli się pochwalić małą liczbą straconych goli. Byli ostatnią drużyną, która zagrała na wyjeździe z Realem przed 6 marca – niezwykłym dniem, w którym przypadła setna rocznica powstania klubu z Madrytu. Z broszury meczowej dowiedziałem się, że to 963. mecz UD Las Palmas w najwyższej klasie rozgrywkowej. Wyczytałem również, że w 1959 roku doznali tu najwyższej porażki w historii – aż 1:10.

Sławni niczym największe gwiazdy rocka rywale wciąż pozostawali w tunelu. Dla nich był to 2117. mecz w hiszpańskiej ekstraklasie. Ich wielcy poprzednicy potrafili wbić dziesięć goli nie tylko

kanaryjskiemu zespołowi. Sezon po wspomnianym wyżej zwycięstwie strzelili 11 bramek drużynie Elche, co do dziś stanowi klubowy rekord, jeśli chodzi o rodzime rozgrywki. Ten fakt mógł uspokoić co bardziej przesądnych kibiców gości, którzy siedzieli dokładnie naprzeciwko mnie.

Wreszcie gospodarze wybiegli na środek boiska. Publika przyjęła ich łagodnym aplauzem. Real borykał się bowiem z rzadko występującym „kryzysem” – przegrał ostatnie dwa mecze i oddał prowadzenie w tabeli na rzecz doskonale grającej Valencii. Fani pokazali swoje niezadowolenie poprzez ciszę. Przynajmniej tak mi się wydaje. Być może przywitanie graczy przez kibiców było bardziej żywiołowe, niż myślałem, jednak wywołany hałas szybko został zagłuszony za pomocą nastrojowego, acz pobudzającego barytonu Plácida Dominga, płynącego ze stadionowych głośników. To ciekawe, że klub nie zaangażował Julia Igleciasa, który za młodu był bramkarzem rezerw. Ale pieśń *Hala Madrid* chyba nie jest w jego stylu... Tytuł („Naprzód, Madrycie”) mówi naprawdę wszystko. Jest to hymn stulecia, autorstwa madryckiego kompozytora José Marii Cano. Niezwykle zadziwiający, naładowany emocjami utwór, podobny do skomponowanego przez Händla oratorium *Mesjasz*. Podczas występu zdawało się, że to zastępy niebios grają na swoich złotych trąbach, a sam Stwórca patrzy z góry i uśmiecha się życzliwie.

Gdy wrzawa ucichła, zapadła niekomfortowa cisza. Ludzie zaczęli poprawiać się na swoich siedzeniach, jakby uznali, że coś tak przyziemnego jak gra w piłkę nie jest warte takiej oprawy. Próbowali skoncentrować się na nadchodzącym wydarzeniu, które tego dnia miało być najważniejsze – na meczu. Przedostatnim w ciągu pierwszych 100 lat istnienia klubu i jedynym, na który pragnąłem wyłudzić bilet. Na szczęście dostałem go dzięki temu, że pisałem książkę.

Pół godziny wcześniej błąkałem się po szerokiej ulicy Paseo de la Castellana, podziwiając fasadę zachodniej trybuny stadionu



jednego z najśłynniejszych klubów na świecie. Chciałem poczuć nastroj, poobserwować kibiców, zdobyć od nich kilka cennych wskazówek. Ci krzątali się w okolicach Madrytu niczym mrówki wokół gniazda. Atmosfera była szalona, panowała pełna improwizacja. Podobnie działo się wewnątrz, gdzie nie ma ponumerowanych krzesełek i wybór miejsca jest tylko twoją decyzją. Zajmowanie stanowisk przebiega pod hasłem „wszyscy na pokład!”. Ruszyłem pod prąd – w kierunku stoisk, gdzie można kupić w miarę tanie klubowe gadżety oraz pamiątki.

Gdy wreszcie dotarłem do pierwszego kiosku, moją uwagę przykuł starannie zalaminowany kalendarz, częściowo przykryty chustą w klubowych barwach. Widniał na nim napis „Ultras Sur – 2002” i zdjęcie trybuny za jedną z bramek Realu, na której gromadzą się awanturnicy. Prezentowali oni wielkie płótno z ładnie przygotowanym fioletowym hasłem „Ultras”, namalowanym na hiszpańskiej fladze. Nie zabrakło również czarnego bojowego topora – neofaszystowskiego symbolu hiszpańskiej skrajnej prawicy.

Za ladą stał młody, ogolony na łyso chłopak w zielonym fleku. Sprzedawał właśnie zapalniczkę z wizerunkiem Raúla. „Co to jest?”, zapytałem, wskazując na produkt. „Kalendarz”, odparł bez emocji, wzruszając ramionami i odwracając się. „Wiem, że to kalendarz, ale kto go wyprodukował?”, naciskałem. Spojrzał na mnie, po czym zmrużył oczy. Znam hiszpański, ale chciałem mu dać do zrozumienia, że przyjechałem z zagranicy, więc z pewnością nie jestem z policji. Rzucił okiem na laptopa, którego trzymałem w prawej dłoni. Być może wyglądałem zbyt oficjalnie. „Oni”, odpowiedział wreszcie, pokazując palcem zachodnią trybunę. „Nie, nie... To niemożliwe. Klub nie sprzedawałby takich rzeczy”. Mężczyzna zaczął się denerwować, szczególnie że wokół napływało coraz więcej ludzi idących na mecz. Każdy mógł usłyszeć naszą rozmowę na temat legalności

tego przeklętego kalendarza. Zaczął tłumaczyć: „Mam na myśli ultrasów. To ich produkty. Możesz je kupić na każdym stoisku”, przekonywał, błagalnie unosząc ręce, jakby Bóg był jego świadkiem.

„I co to wszystko oznacza?”, naciskałem irytująco, wskazując na namalowany topór. Tym razem się wściekł. „Przecież to hiszpańska flaga!”, wrzasnął, coraz mocniej wymachując rękami. W pewnym momencie omal nie uderzył przechodnia. Próbowałem go uspokoić. „Wiem, że to flaga. Ale o co chodzi z tym toporem?” To w końcu sprowokowało minilekcję historii myśli politycznej i kilka mocnych przekleństw: „Faszyści, kurwa, nie wiem, naziści, chuligani, Franco i tak dalej”. Skinąłem grzecznie głową, spytałem, ile to kosztuje, i chwilę potem odszedłem z łupem, za który zapłaciłem dwa euro. Tanim, bo przecenionym o połowę.

Abstrahując od skinheadów, którzy obsługują stoiska z pamiątkami, reszta scenerii przypominała piknik rodzinny. Mamusie i tatusiowie z paczką dzieciaków, ojcowie oraz synowie, małżeństwa, koniki, dziwacznicy policjanci. Nic złego nie unosiło się w powietrzu. Brakowało podenerwowania, które towarzyszy wybierającym się na mecz Brytyjczykom.

Kibice Las Palmas przybyli licznie, ale jak już wspomniałem, większość z nich mieszkała w Madrycie. Wałęsali się pod stadionem w żółtych strojach, rozkoszując pięknym dniem. Nie kryli swojej przynależności klubowej. W ten sposób traktowali stadion jako bezpieczne miejsce.

Gdy nowi ludzie pojawiają się na Bernabéu, ich reakcja jest z reguły taka sama. Nie mogą uwierzyć, że to ten sam stadion, który widzieli w telewizji. Większość myśli, że pomyliła miejsce. Takie uczucie towarzyszy kibicom niemal na każdej nowo poznanej arenie, ale tutaj jest spotęgowane. Wynika to z reputacji oraz historii tego obiektu. Na tej murawie dreptał Di Stéfano, a trybuny gościły generała Franco. Tutaj Santiago Bernabéu po raz ostatni pozdrowiał

tłum, zanim zmarł na raka trzy tygodnie przed mistrzostwami świata w Argentynie w 1978 roku. I teraz, w słabym świetle zimowego popołudnia, niecały miesiąc przed 100. rocznicą założenia klubu, trudno dopasować słowa, by opisać te emocje. Sam stadion jest tak wysoki, że aż budzi lęk, a także bardziej kwadratowy, niż sądziłem, gdy obserwowałem go z zewnątrz. Pięć kondygnacji siedzisk na północnej trybunie (która znajdowała się naprzeciwko mnie), ustawiono tak stromo i blisko murawy, że kibice zajmujący miejsca na samej górze mogą mieć wrażenie, iż trybuna stoi niemal pionowo. Niektórzy prawdopodobnie woleliby tam zapiąć pas bezpieczeństwa.

Klubowy dział marketingu, słysząc mój wiecznie skruszony ton głosu, trafnie ocenił, że nie jestem żadnym vipem, i wydał mi bilet na Fondo Sur, która znajduje się po lewej stronie trybuny ultrasów. Widok stamtąd był imponujący. Za chwilę miał się zacząć spektakl, na który czekałem. Liczyłem, że doświadczę magii ze strony takich zawodników jak Zidane, Figo i Roberto Carlos. Szanse na to były naprawdę spore.

Ale gdy operowy głos Placida ucichł i sędzia rozpoczął grę, pierwszym piłkarzem, który zwrócił moją uwagę, był Brytyjczyk – można więc powiedzieć, że kolega – Vinny Samways. W Las Palmas występował od 1996 roku. Z czasów gry w Anglii pamiętałem go jako bladoego, raczej delikatnego zawodnika, który przez wiele lat próbował wywalczyć sobie stałe miejsce w składzie Tottenhamu. Ostatecznie poległ w batalii. Nie dlatego, że brakowało mu talentu – po prostu nie był wystarczająco twardy, by grać w lidze angielskiej. Tutaj, co mnie zdziwiło, udało mu się osiągnąć status boiskowego chuligana – kibice określali go mianem agresywnego pomocnika. Być może dlatego, że miał na imię Vincent, ale w przeciwieństwie do Vinniego Jonesa nadal wyglądał łagodnie oraz krucho. Znalazł się jednak w doborowym towarzystwie i natychmiast to potwierdził. W swojej

pierwszej akcji przejął długie podanie Oscara Minambresa, młodego debiutanta w barwach Realu, i podbudowany swoją interwencją spróbował przedryblować Figo – wówczas najprawdopodobniej drugiego po Zidanie najlepszego piłkarza świata. Portugalczyk to przewidział, zaczekał na zwód Samwaysa i odebrał mu piłkę. Vinny nadał policzki, ruszył w pościg i ostatecznie wybił futbolówkę na aut.

W miarę upływu czasu białe koszulki Realu coraz bardziej mnie interesowały. Nie chodzi nawet o to, że gospodarze grali lepiej, zwróciłem raczej uwagę na pewną dziwną aurę, wyzwalaną przez dostojność tych strojów. Ich ascetyczność to wynik świadomej decyzji, opartej w dużej mierze na pewności siebie. Żółte koszulki w niebieskie pasy graczy UD Las Palmas wyglądały przy nich niczym kostiumy z niedzielnej ligi bywalców pubu. Ruchy graczy z Madrytu były bardziej eleganckie, przemyślane, a trykoty zostały skrojone na miarę talentu gwiazd. Gdy prowadzili piłkę, ich zagrywki oraz zachowania były spójne, nawet mimo braku ulubieńca publiczności, Raúla, i kapitana drużyny, groźnego Fernando Hierro. Wyglądali po prostu jak lepsza rasa. Trudno było sobie wyobrazić, że Kanaryjczycy – mimo tego, że tracili wtedy mało bramek – wywozą stąd korzystny wynik.

Gdy słońce wzniosło się nad stadion i promienie zaczęły oświetlać północno-wschodnią trybunę, przyjrzałem się kibicom siedzącym wokół mnie. Temperatura trochę spadła, a nad naszymi głowami włączono klimatyzację. Widząc takie luksusy, przypomniałem sobie czasy dzieciństwa. Kiedyś w mroźnym i zawsze wietrznym Grimsby moją jedyną ochroną przed zimnem była stara budrysówka. Teraz młodzież wygrzewa się podczas meczu obok nowoczesnych grzejników. Skoro już o nich mowa... Obok mnie siedziała portugalska rodzina z nastoletnią, ponurą córką. Reagowała ona tylko wtedy, gdy do piłki dochodził Figo. Przez większość meczu była oswiała. Oto właśnie pokolenie nowych kibiców Realu – kosmopolitów XXI wieku. Bernabéu zawsze było miejscem dla wiernych fanów

zespołu, ale otworzyło się także przed turystami. Miasto chwali się, że stadion jest najczęściej odwiedzanym „zabytkiem” zaraz po Prado i Puerta del Sol. Jakby na potwierdzenie, jeszcze przed wejściem do środka – gdy kupowałem „słynny” kalendarz – spotkałem sporą grupę Anglików z Liverpoolu, którzy chwiejnym krokiem zmierzali na mecz, rozmawiając na temat Chelsea i Kena Batesa (ówczesnego właściciela klubu).

Tuż za mną siedział wyglądający jak bandyta facet w średnim wieku, o ospowatej twarzy i wygolonej głowie w kształcie kopuły, któremu wydawało się, że zabawia ludzi dookoła. To typ gościa, który zanudza opowieściami o swoich kilkudniowych wczasach w górach: „Super miejsce. Tanie żarcie, tania gorzała, ryby biorą”. Czasem przerywa swoją historię, żeby z intensywnością klaksonu wrzasnąć: „Jebany Morientes! Na ławę z nim!”.

Obok niego siedziało małżeństwo, schludnie ubrane i wyglądające na zamożne. Tylko obowiązek pozostawania na miejscu sprawił, że te dwa typy ludzi były meczowymi sąsiadami. Choć pochodzili z różnych środowisk, to łysy, którego cechowała pewność siebie równa arogancji, przyjął za punkt honoru zatarcie podziału klasowego i zabawienie nowo poznanych ludzi.

Nagle obiekt jego drwin i grepsów rozpoczął festiwal strzelecki. Figo pomknął prawą stroną, dośrodkował piłkę, a nadbiegający z prędkością i siłą pociągu Morientes strzelił głową gola. Napastnik Realu podbiegł do publiczności i zasalutował. „Idiota!”, wrzeszczał łysy, który mimo wiwatującego tłumu nie chciał dać za wygraną.

To dziwaczne uczucie – obserwować taką drużynę jak Real Madryt, której zawodnicy są znani oraz podziwiani na całym świecie, i nagle doznać szoku, odkrywając, że wśród fanów są i tacy, którzy mają się za półbogów, nazywając piłkarzy „idiotami”. Facetowi wychowanemu w duchu angielskiej miłości do piłki wydawało się

niepojęte, że właśnie tu, w Madrycie, kibice mogą wątpić w umiejętności gwiazd. Zwłaszcza po takim pięknym gołu.

Ale wszystko jest względne. Próbuję postawić się na ich miejscu – wyobrazić sobie, że dojrzywałem, rokrocznie obserwując popisy najlepszych piłkarzy świata, przez co wykształcił się we mnie szósty zmysł, dzięki któremu potrafię znaleźć dziurę w całym i wytknąć choćby najmniejszy defekt.

Dlatego zwróciłem uwagę na to, jak piłkarze Realu prezentują się w białych barwach. Wyglądają niczym konie wyścigowe – mocni i eleganccy. Wydaje się, że zamieszkują inny wymiar, a ich idealne ciała zostały sklonowane, po to by jak najlepiej radziły sobie w tej urzekającej grze, związanej z umiejętnym manipulowaniem skórzaną piłką. Ci, których obserwowałem w młodości – zawodnicy z dawnej czwartej dywizji – byli chuderławi, nie przypominali herosów. Dlatego jeśli jest jakiś problem z Morientesem, ja go nie widzę. Według mnie wyglądał niezłe...

Przynajmniej tak samo dobrze prezentował się tego dnia Zidane. Jak na piłkarza o takiej reputacji krótko pozostawał przy piłce, nie przytrzymał jej. Rozgrywał z precyzją, która doprowadziła go do wielkości. Skupiałem się na grze Francuza przez dobrych kilka minut. Obserwowałem jego długie, eleganckie, wykonywane jakby w zwolnionym tempie susy. Biegał mądrze, z rozważą i wielkim spokojem. Był zawsze tam, gdzie potrzeba, przewidywał, co się wydarzy na boisku. Doskonale wiedział, jaką obrać pozycję. Czasami stał w miejscu i patrzył na toczące się spotkanie, jakby dokonywał obserwacji i wyciągał wnioski. Łysina dodawała mu dostojności – dzięki niej oraz swoim ruchom przypominał mnicha. Podobnie jak kiedyś Bobby Charlton.

Zidane był niczym jego wielcy poprzednicy. Dzięki umiejętności czytania gry i zmysłowi w rozgrywaniu akcji zawsze miał mnóstwo

czasu na podjęcie odpowiednich decyzji – to cechowało najlepszych pomocników oraz obrońców. Pasował do królewskiej bieli Realu jak mało kto. Prezentował się w niej perfekcyjnie. Fakt, że kiedyś nosił inny zestaw kolorów – choćby w reprezentacji narodowej – był dla mnie nie do przyjęcia. Biało-czarne koszulki Juventusu dekoncentrowały widza. W prostym madryckim trykocie jego jakość była bardziej widoczna, wręcz majestatyczna. Zabrzmiał jak frazes, ale oglądanie Zidane’a było czystą przyjemnością. Za każdym razem, gdy otrzymywał piłkę, powodował dreszcz emocji – podświadome wierzenie w niego.

I to właśnie była akcja w jego stylu. Minąwszy linię środkową, ruszył w lewo. Tam otrzymał długie podanie od Helguery. Przejął futbolówkę, nieco przyspieszył, po czym nagle zmienił kierunek biegu i przeniósł akcję do środka. Balansem ciała zwiódł obrońców i zasiał wśród nich panikę. Zanim zdążyli się przegrupować, huknął między nogami przeciwników. Piłka zatrzepotała w samym okienku bramki. To był prawdziwy gol z niczego, takie trafienia zaliczają tylko najlepsi na świecie. Siedzący tuż za mną żartowniś tym razem zareagował entuzjastyczniej. Podskoczył i wrzasnął na cały głos: „Así se hace coño! Así se hace!” (Tak się gra w piłkę! Tak się to powinno robić!) – po czym, by nie wyjść na zbyt optymistę, rychło dodał: „Has visto eso Morientes? Así se hace!” (Widziałeś to, Morientes? Tak się to robi!).

Morientes najwidoczniej usłyszał swojego największego krytyka, bo dwie minuty później zastosował się do tych „cennych” wskazówek. Figo znów pognął prawą stroną – swoim ulubionym sektorem boiska – i chcąc zrobić sobie więcej miejsca do dośrodkowania, zagrał piłkę obok interweniującego obrońcy Las Palmas, Josico. Futbolówka odbiła się od kostki rywala i z powrotem znalazła pod nogami Portugalczyka. Ten nie zastanawiał się długo – posłał mocne, dokładne dośrodkowanie w pole bramkowe gości, gdzie na

podanie czekał już Morientes. Napastnik Realu ładnym, mocnym strzałem pokonał golkipera rywala. Gdy futbolówka zatrzepotała w siatce, cała akcja wydała się zbyt perfekcyjna, jakby wycięta z kolorowego magazynu. Czekałem, aż ktoś mnie uszczypnie, ale ten gol był prawdziwy. Całe to zdarzenie było cudowne w swojej prostocie. Po tej sytuacji gracze Las Palmas stracili dotychczasowy rezon. Dla nich nie było już powrotu w tym spotkaniu. Zostali skazani na klęskę.

W przerwie na murawie pojawił się inny z Anglików. W dresie Realu zonglował piłką i grał w dziadka z innymi rezerwowymi. To był Steve McManaman, właściciel koni wyścigowych – jako piłkarz nie przypominał jednak rumaka. Nie pasował do tego miejsca – areny wielkich tradycji i zwycięstw. Był chudy, jakby niedożywiony. Wyglądał niczym chłopiec, któremu w jakiś sposób udało się zdobyć klubowy dres i niezauważonym przemknąć na murawę, gdzie występowali jego idole. Rozgrzewał się obok ławki rezerwowych w towarzystwie Celadesa i Solariego. Widać było, jak doskonale czuł się w tym środowisku. Co chwilę wybuchał śmiechem, grając z kolegami w grę, która polegała na tym, że odbijana w trójkącie piłka nie mogła dotknąć ziemi. Błąd w przyjęciu groził utratą punktu, które liczył oczywiście Brytyjczyk. W pewnym momencie Celades zagrał do niego futbolówkę, a ten przyjął ją na kolano i zagrał do Solariego – ale zrobił to tak, by Hiszpan nie mógł już jej odbić. Argentyńczyk w żartach pogroził palcem, a McManaman odwrócił się w stronę publiczności, po czym w hiszpańskim stylu zaczął machać do nich rękami, szukając aprobaty.

Szlachetna instytucja, jaką jest Real Madryt, akceptowała jego anglosaską ekscentryczność, a sam „Macca” czuł się w niej szczęśliwy. Gdy zaczęli już grać na poważnie, za każdym razem, gdy dostawał piłkę, pojawiała się we mnie pewne napięcie. Byłem przekonany – szczególnie po tylu latach oglądania hiszpańskiej ligi – że Anglicy



są dużo gorsi technicznie od Hiszpanów. Bałem się, że wyniknie to właśnie podczas tej gierki, gdy Celades ze Scolariem zawstydzą McManamana. Jednak ku mojemu zdziwieniu ten radził sobie nadspodziewanie dobrze.

Nagle na stadionie rozbrzmiał sygnał, przypominający odgłos fletu, a na tablicy świetlnej usytuowanej nad północną trybuną pokazał się jakiś wynik. To był rezultat meczu Atlético Madryt, które grało u siebie z Salamancą. Gdy ludzie zobaczyli, że ich rywal zza między przegrywa jednym golem, rozbrzmiał dziki aplauz. Atlético, klub bardzo zasłużony, występował w tym czasie w drugiej lidze, gdzie prowadził w tabeli. Był więc bliski powrotu do elity. Zachowanie publiczności zdemaskowało poczucie pewnej nostalgii, tęsknoty za derbami miasta. Po chwili na tablicy wyświetlił się kolejny wynik: Real Sociedad wygrywał z Saragossą 2:0. To wywołało gwizdy i buczenie. Usłyszałem słowa „Putos vascos” (Pierdoleni Baskowie), co oczywiście miało swoje podłoże polityczne.

W międzyczasie rodzinna siedząca z mojej prawej strony ulotniła się na kawę. Mogąc opuścić swoje miejsce, udałem się na krótki spacer w kierunku szpaleru, który dzielił moją trybunę z sektorem znajdującym się za jedną z bramek, zajmowanym przez kibiców z Ultras Sur. Bacznie obserwowałem ich ogolone głowy, jakbym zerkał na jeden z piekielnych kręgów Dantego. Wydawało się, że było ich niewiele, ale to tylko iluzja wywołana przez rozkład krzeselek. Panował spokój, nikt nie siedział, tylko kilku ludzi machało transparentami. Zauważyłem między innymi flagę Wielkiej Brytanii, wspólnoty autonomicznej Madrytu, hiszpańską i kilka mniejszych, których kolorystyka oraz symbolika niewiele mi mówiły. Krótco ostrzyżony grubawy chłopak uderzał w bęben, a tłum co jakiś czas krzyczał „Hala Madrid”. Jeden ze skinheadów stojących niedaleko pleksi oddzielającej obie trybuny miał na sobie liliowy szal z antybarcelońskim sloganem „Club anti-Culé” i rysunkiem wielkiego buta,

który miażdży katalońską głowę. Krótki rzut oka na ogół wystarczył, by zrozumieć, że większość z nich nie skrzywdziłaby nawet muchy. Wyglądali, oprócz kilku naprawdę groźnych twarzy, jakby po meczu wybierali się na kolację do mamy.

W drugiej połowie Las Palmas przestało istnieć. Nie podjęło nawet walki. Po 77 minutach było już 6:0. Kibice robili meksykańską falę, a na boisku w miejsce Figo zameldował się McManaman. Kilka minut później Morientes strzelił swojego piątego gola w tym meczu. Wcześniej, od momentu założenia ligi w 1928 roku, dokonało tego 20 graczy. Ostatnim był w 1995 roku zawodnik Valladolid, Alen Peternac.

Siedzący za mną łysol nadal zabawiał publiczność. Gdy uciły oklaski po bramce, wrzasnął: „Bueno hombre! Hoy has tenido suerte!” (OK, stary, miałeś dzisiaj szczęście!). Mylił się, bo zaledwie cztery minuty później niziutki Kantabryjczyk Pedro Munitis (zmiennik Zidane’a) został sfaulowany w polu karnym. Piłkarze Las Palmas byli zdruzgotani, a fani Realu zaczęli skandować nazwisko Morientesa (który nie był etatowym wykonawcą rzutów karnych). McManaman oddał mu piłkę i młody napastnik stanął przed szansą przejścia do historii futbolu. Wcześniej tylko dwóch graczy strzeliło sześć goli (obaj w latach 40.), a siedem zdobyli jedynie Bata i słynny Ladislao Kubala. Jednak Morientes podszedł do tej jedenastki niechętnie, jakby z litości dla Nacho Gonzalesa, bramkarza rywali. Uderzył bardzo lekko, w kierunku wybranym przez Argentyńczyka. Golkiper miał mnóstwo czasu do obrony, która pozwoliła mu odzyskać resztki straconej godności.

Nikt podczas spotkania nie dostał żółtej kartki ani nie zszedł z czerwona. Choćby z tego powodu był to ciekawy mecz. Jeszcze przed ostatnim gwizdkiem sędziego tłum zaczął krzyczeć: „Así, así, así gana el Madrid” (Właśnie tak wygrywa Real Madryt). W ten sposób ośmieszyli tych wszystkich, którzy na każdym kroku parafrazują tę samą przysięawkę, mając na celu utarcie nosa cwaniaczkom

ze stolicy – uważanych za faworyzowanych przez sędziów frajerów oraz wiecznych szczęściarzy.

Ale ci, którzy musieli zadbać o godną 100. rocznicę klubu, mieli dobry dzień, choć nie byli zmuszeni do wrzucenia najwyższego biegu. Za każdym razem, gdy atakowali, piłka lądowała w siatce. Odnieśli głośnie zwycięstwo – przeszli do historii i zrobili to z hukiem. Byłem tam i z tego powodu jestem wielkim farciarzem.

*Real Madryt – Deportivo La Coruña*

*26 marca 2006 roku*

Minęły cztery lata. To spotkanie było trzecim meczem u siebie po odejściu Péreza. Słońce powoli zachodziło, zaglądając przez szpary w dachu zachodniej trybuny. Powietrze było łagodne. Dało się w nim wyczuć pierwszy powiew wiosny. Usiadłem wysoko w łoży prasowej, gdzie widok na murawę przyprawiał o zawroty głowy. Gospodarze prowadzili 2:0 z dziwnie przytłumionym Deportivo. Widocznie goście nie zaadaptowali się do panujących w tym dniu warunków pogodowych. Hiszpania zmagiała się wtedy z długą i surową zimą, największą od 70 lat. Być może zespół z Galicji, przyzwyczajony do mocnego zachodniego wiatru znad Atlantyku, po prostu nie mógł się przystosować do gęstego powietrza, jakim trzeba było oddychać. Jeden z ich obrońców, Cesar, sprokurował rzut wolny z prawej strony boiska. Do jego wykonania podszedł oczywiście David Beckham. Ze swoją charakterystyczną pieśczołliwością precyzyjnie wrzucił piłkę w pole karne wprost na głowę Sergio Ramosa. Ten mocnym strzałem pokonał bramkarza Molinę. W akcie radości Ramos przebiegł wzdłuż wschodniej trybuny, a następnie wykonał podwójne salto. Po chwili otoczyła go reszta drużyny, sprzedając mu kilka serdecznych uścisków.

Każdy widz na stadionie zapamiętał ten moment i wnikliwie obserwował niezwykle gest. Dokładnie miesiąc wcześniej Ramos, którego zeszłego lata Real wykupił za 27 milionów euro z Sevilli, strzelił gola na 1:0 w rozgrywanym w szalenie trudnych warunkach pogodowych meczu przeciwko Mallorcie. Wtedy odwrócił się i bez cienia radości wrócił na swoją połowę. Nikt mu nie pogratulował. Telewizyjne kamery pokazały całe zdarzenie, a po chwili przeniosły swoją uwagę na ławkę rezerwowych, gdzie niespodziewanie posadzony tam Raúl również nie okazywał entuzjazmu. Klub z Majorki wygrał ten mecz 2:1, co ostatecznie skłoniło Florentino Péreza do rezygnacji z funkcji prezidenta. Podczas pożegnalnej mowy Pérez zwrócił uwagę na zachowanie Ramosa: „Chciałbym oglądać piłkarzy, którzy cieszą się z gry oraz czerpią radość ze zdobywania goli”. Tydzień przed meczem z Mallorcą Ramos w szczerym wywiadzie dla prasy zdradził, że istnieje mały konflikt w drużynie, szczególnie między Ronaldo i Raúllem, po czym zaapelował, by zatrzymać postępujące wewnętrzne krwawienie w zespole. Brazylijczyk, który wystąpił w przegranym meczu, żalił się przed kluczowym rewanżem w Lidze Mistrzów przeciwko Arsenalowi, że czuje się „niekochany” na Santiago Bernabéu. Od razu został skrytykowany za to, iż dekoncentruje drużynę przed jednym z najważniejszych momentów w historii klubu. Wylewna radość Ramosa po голу strzelonym Deportivo, a także akrobatyczne wygibasy, miały zatrzymać kryzys.

12 minut później Julio Baptista pięknym strzałem z rzutu wolnego podwyższył wynik meczu. Brazylijczyk, podobnie jak Ramos, przybył do Realu zeszłego lata z Sevilli. Ze względu na niezwykle siłę hiszpańska prasa nazywała go „La Bestia”. Ale w tamtym sezonie słowo „bestialski” było ostatnim, jakie do niego pasowało. Zdobył dopiero czwartego gola. Znajdował się na liście piłkarzy, którzy w ramach przebudowy mieli rychło odejść z zespołu. Obok niego widniały tam też nazwiska – by wymienić tylko trzy – Ronaldo,

Roberto Carlosa i Zidane'a. Klub był w przededniu nowej ery, tkwiąc w okresie przejściowym. Miał być bardziej „przyziemny”, wszelkim nadąsanym gwiazdom zamiast nowych kontraktów pokazywano raczej drzwi. Nadzorca tych przemian, trener Juan Ramón López Caro, mówił: „Od teraz będziemy grali *con hombres, y no con nombres*” (ludźmi, a nie nazwiskami). Jednak jak mawiał lord Herbert Asquith – pożyczmy, zobaczymy... Wcześniej López Caro prowadził drużynę rezerw, pierwszy zespół przejął po dymisji Vanderleia Luxemburgo. Był tylko trenerem tymczasowym. Mimo zapewnień o klubie opartym na *hombres* Real i tak szukał *nombres*. Tyczyło się to też stanowiska szkoleniowca. W grę wchodził Mourinho, Wenger, Capello (tę kandydaturę popierali kibice), Eriksson i Ancelotti. Klub zakładał, że każdy z nich przyjmie propozycję pracy z otwartymi rękami.

Niezależnie od tego, co miała przynieść przyszłość, piłkarze zachwycili się golem Baptisty. Okazali wobec niego dużą solidarność, jakby chcąc udowodnić, że reformę ludzi w szarych garniturach może powstrzymać jedynie dobra gra. Nawet Ronaldo – z dużym brzuchem oraz zaburzeniami emocjonalnymi – strzelił gola i zagrał przyzwoity mecz. Gdy w 78. minucie został zmieniony przez Włocha Cassano, publika pożegnała go brawami. Kibice szybko mu wybaczała, zupełnie jak rodzice, którzy i tak kochają swojego buntowniczego syna.

Zespół rozegrał dobry mecz i łatwo wygrał 4:0. Cztery lata temu, tuż przed setną rocznicą, oglądałem drużynę, która zniszczyła UD Las Palmas 7:0. Ale od tego czasu upłynęło wiele wody. Z mojej lewej strony siedział amerykański aktor komediowy Drew Carey, który kręcił dokument o klubie i mieście. Szykował się na El Clásico – mecz Barcelony z Realem na Camp Nou, który miał się odbyć tydzień później. Zwycięstwo mogło zagwarantować Katalończykom drugie z rzędu mistrzostwo Hiszpanii.

Przyjechałem z północy, by wziąć udział w programie komika – opowiedzieć o klubie oraz jego zawiłych rytuałach. Gdy piłkarze wyszli na murawę, dokładnie opisałem mu różnicę pomiędzy tym spotkaniem i pogromem Las Palmas, któremu przyglądałem się podczas przygotowań do napisania książki. W protokole meczowym podarowanym nam przez stewarda widniały nazwiska tylko trzech piłkarzy, biorących udział w tamtym pojedynku: Casillas, Roberto Carlos i Zidane. Raúl siedział na ławce. Podobnie Míchel Salgado, który cztery lata temu nie grał z powodu kontuzji. Wśród rezerwowych Deportivo był za to Ruben Castro, były gracz Las Palmas – ale zdaje się, że on nie chciałby pamiętać tamtego gradu bramek. Jego dawny klub błąka się teraz w Segunda B, hiszpańskiej trzeciej klasie rozgrywkowej\*.

Brakowało Figo (który wyjechał do Włoch), McManaman wrócił do Anglii i praktycznie był już u schyłku kariery, a Morientes – strzelec pięciu goli – grał dla Liverpoolu pod wodzą urodzonego w Madrycie Rafaela Beníteza. Bardziej znaczący był fakt, że od tamtego czasu w odstawkę poszło również pięciu trenerów: Vicente del Bosque, Carlos Queiroz, José Antonio Camacho, García Remón i Vanderlei Luxemburgo. Wytłumaczyłem Amerykaninowi, że nie jest łatwo wyjaśnić burzliwą chemię wewnątrz tego klubu i nie ma papierka lakmusowego, który mógłby ocenić jej szkodliwość bądź przydatność.

Del Bosque był strażnikiem najstarszych klubowych wartości, złożonych w ofercie rewolucji marketingowej. Zanikły, gdy ważniejsze stało się zarabianie pieniędzy. Zastąpił go przystojny, opalony Queiroz – który zbudował swoją reputację na Old Trafford, jako asystent Fergusona. Podczas gdy del Bosque pozostawał starym dobrodusznym Hiszpanem, pozwalającym swoim piłkarzom prawie

---

\* Dziś jest w czołówce Segunda División – przyp. red.

na wszystko (dopóki wygrywali), Portugalczyk – wybór dyrektora Valdano – był raczej trudnym w odbiorze bajerantem, nowoczesnym Europejczykiem. Gdy pokazano mu drzwi po zaledwie jednym przepracowanym sezonie, ludzie zaczęli nawoływać do powrotu starych zasad *madridismo*. Nie było wtedy lepszego kandydata od dobrego druha, José Antonia Camacho. Ale ten nie uchodził za ulubieńca Valdano, zmieniającego co chwila swoje zdanie. Zresztą sam nie miał łatwego charakteru. Gdy za pierwszym razem obejmował Real (w 1998 roku), wytrwał 22 dni. Za drugim razem popracował trochę dłużej (86 dni), zanim zrezygnował „z powodów osobistych”. Wierny madryckiej omercie Camacho nigdy nie zdradził prawdziwych motywów swojego odejścia, ale ludzie wewnątrz klubu twierdzą, że przyczyną tej decyzji było zachowanie Beckhama, który odmówił udziału w treningu, ponieważ w tym czasie nagrywał reklamówkę dla Adidasa, a Pérez nie widział w tym nic złego. Stary wojownik przestał się ludzić. Zrozumiał, że nowy Real nie jest miejscem dla niego.

García Remón, niezwiązany ani ze starą, ani z nową szkołą trenerską, przejął pierwszą drużynę jako opiekun rezerw, ale szybko doszedł do wniosku, że sobie nie poradzi. Prezydent szukał w tym czasie szkoleniowca z nazwiskiem, aż wreszcie postawił na Vanderleia Luxemburgo, który szczycił się długą listą zdobytych trofeów w Ameryce Południowej i miał wystarczającą charyzmę, by dokonać rewolucji w taktyce zespołu. Wydawało się, że to właściwy człowiek na właściwym miejscu – w końcu sam Pelé określił go mianem „Pelégo wśród trenerów”.

Ale rozdmuchane ego Brazylijczyka i całkowita niezdolność do zrozumienia istoty *madridismo* (hasło przewodnie: to nie ty jesteś najważniejszy, tylko klub), nie pozwoliły uprzątnąć tego bałaganu. Luxemburgo został zwolniony tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 2005 roku.

Zastąpił go López Caro – świeżak, facet o dobrych intencjach, który powoli wspinał się po szczebelkach kariery. Na mecz z Deportivo wyszedł z uniesionymi rękami, zachęcając ludzi do braw. „O co chodzi?” – zapytał Carey, nagrywając wszystko swoją wielką kamerą. „Nie jestem do końca pewien... – powiedziałem szczerze. – Chce wzbudzić ich aplauz przez... aplauz, jeśli wiesz, o czym mówię. Ostatnimi czasy nie słyszało się w tym miejscu braw”.

Gdy trybuna prasowa zaczęła pustoszeć, laptopy wyłączono, a stoły złożono, rozmowa skupiła się wokół dwóch punktów, które Real nadrobił do prowadzącej Barcelony. Przewaga Katalończyków wynosiła teraz 11 oczek, a do końca sezonu pozostało osiem meczów. Spotkanie Barcelony widziałem tego samego wieczoru w nowo odkrytej staromodnej knajpie w dystrykcie Callao. Właściciel baru pokazywał go na małym, starym telewizorze. Barça zremisowała 0:0 ze znajdującą się na dnie tabeli Málagą. Wynik ten wywołał niemałą radość wśród klientów pubu. „Ya están en crisis! (Już się nas boją!) – zażartował facet gotujący tapas. – Les vamos a joder la semana que viene! (Zniszczymy ich w przyszłym tygodniu!)”, triumfował, oceniając mecz. Nadzieja rodziła się w piersiach ludzi obsesyjnie pragnących mistrzostwa. Myśl o tym, że Madryt wciąż może dogonić Barcelonę, była absurdalna, ale jednocześnie potrzebna. Realizm rzadko bowiem jest częścią uczucia. Dla Realu trzy lata bez jakiegokolwiek trofeum to historia, która ostatni raz wydarzyła się w późnych latach 40., gdy nie było jeszcze Di Stéfano. Nastął okres postny. Kuszeni, ale wciąż nieskalani – cytując słynny hymn. Galaktyczny sen może umrzeć, lecz *madridismo* będzie żyć wiecznie.



Fot. Richard Heathcote/Getty Images



Powyżej: Plejada gwiazd. Przed meczem z Bayerem w fazie grupowej Ligi Mistrzów w 2004 roku. W górnym rzędzie od lewej: Iker Casillas, Iván Helguera, Ronaldo, Luís Figo, Zinédine Zidane, Walter Samuel. W dolnym rzędzie od lewej: Michel Salgado, Roberto Carlos, Raúl, David Beckham, Guti

Po lewej: Puchar Króla w 2011 roku. Tak smakuje zwycięstwo w Copa del Rey po 18 latach przerwy

Fot. David Ramos/Getty Images





Fot. Denis Doyle/Getty Images

Drużyna świętuje mistrzostwo Hiszpanii po meczu z Mallorcą 13 maja 2012 roku

Gareth Bale zdobywa zwycięskiego gola w finale Pucharu Króla w 2014 roku



Fot. Denis Doyle/Getty Images

Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń  
i na [www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

**EQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

